



Fot. Gregor Gajewski

Ewa Mazgal
e.mazgal@gazetaolsztynska.pl

— *Macie w Węgajtach zasięg? Chodzi mi o komórkę.*

— To zależy, jaką komórkę się ma.

— *Zawsze się zastanawiam, co człowiek, który był we Wrocławiu u Jerzego Grotowskiego i skończył w Warszawie historię sztuki, skłoniło do przyjazdu na Warmię?*

— Czysty przypadek. Choć jest pewna rodzinna legenda. Kiedyś przejeżdżałem przez te okolice pociągiem i mama pokazała mi, że wśród tych lasów i moczarów żyje gdzieś ostatni potomek naszej warmińskiej rodziny.

— *To ty jesteś stąd?!*

— Rodzina wyemigrowała z Warmii po przegranych plebiscytach w 1920 roku. Mój dziadek Stefan Makuracki w czasie jego trwania pisywał w „Gazety Olsztyńskiej”. Wtedy mało się tym interesowałem. I nieładnie tak mówić, ale było mi wszystko jedno, gdzie będzie realizowany program Pracowni Interdyscyplinarnej, który tworzyliśmy już w Warszawie. Odpowiedzieliśmy na wezwanie Burego, czyli Ta-

deusza Burniewicza (grafika), i Ryśka Michalskiego (prezesa fundacji Tratwa) i przyjechaliśmy do Olsztyna. Przez pierwsze lata byłem na Warmii przybyszem. Inny przypadek zrządził, że wprowadziłem się do Węgajt i stałem się sąsiadem tego ostatniego potomka. Był jednym z ostatnich tutaj Warmiaków. I ja, chcąc nie chcąc, musiałem odrabiać lekcję tożsamości. Był rok 1982. Przedtem Pracownia została rozwiązana i każdy poszedł w swoją stronę. Przez pół roku mieszkalem w Węgajtach sam. Nie było wtedy lasu.

— *Chcesz powiedzieć, że przez te lata wyrósł las?*

— Tak, ale wtedy wokół były pola. Do zrujnowanego domu, w którym mieszkowałem, przychodził borsuk, rano jeleń stawał przy studni, sowa krążyła nade mną. Dlaczego mówię o zwierzętach? Bo ich bliskość też buduje tożsamość lokalną, a o niej przecież rozmawiamy. Ale tak jak zmienił się teren, zmieniła się dzisiaj koncepcja tożsamości — ze statycznej, stała się dynamiczną. Jednak wtedy odgrzebywałem swoją rodzinną historię na miejscu. A nas, którzyśmy tu przyjechali, nazywano aliantami.

— *Ale już aliantami nie jesteście?*

— To pojęcie się zatarło. Zrobiliśmy przecież dużo dla budowania lokalnej tożsamości. Teraz jednak w gminie jest kierunek deweloperski — powstają osiedla.

— *Czy Teatr Węgajty był wpisany w program, który wymyśliliście w Warszawie?*

— To też wynik historii. Pracownia działała do stanu wojennego. Wtedy zaczęliśmy szukać — ja, Mute (Erdmute, żona Sobaszka — red.) i kilka innych osób — miejsca. W Węgajtach Krzysztof Gedrojć zrobił w sali, gdzie dzisiaj odbywają się spektakle i występy, podłogę. Jest świetna, nawet podziwiana.

— *Angażujecie też lokalną społeczność?*

— Dziesięć lat temu założyliśmy Wioskę Teatralną. Wyszliśmy poza budynek, rozszerzyliśmy swoją obecność w przestrzeni wiosek. Wiosek nie w sensie etnograficznym, bo to zanikło, ale w sensie problemowym.

— *Interesuje was społeczność miejscowa czy ta napływowa, deweloperska?*

— Myślmy przede wszyst-

kim o dzieciakach, bo teraz nie ma świetlic wiejskich. Wioska Teatralna jest przejęta przez młodsze pokolenie. Ono jest zainteresowane teatrem społecznym, otwartym, odwołującym się do kultury hip-hopu. Ona nie jest związana tylko z blokowiskiem, może być też związana z „rumowiskiem”. Jest taki rapujący skład Bałag. Tworzą go licealiści i gimnazjaliści z różnych miejscowości, którzy tu się urodzili i nie mają problemu z pytaniem: kim jestem? Ale teraz więź lokalna jest obsługiwana przez festyny. My jesteśmy częścią innego ruchu, tak jak Stowarzyszenie Artystyczno-Ekologiczne Rękodzielo. Naszą zasadą jest otwartość i niepopadanie w rutynę.

— *Co macie w planach?*

— Przygotowujemy dwa projekty. Jeden to polsko-białoruski „Na trawie”, a drugi będziemy robili na pograniczu odrzańskim. Z Polski pojedziemy przez Niemcy do Francji. Będziemy pokazywali spektakle w różnych miastach. Projekt nazywa się „Ziemia B”, jak Polska B. Spektakl mówi o zwierzętach, o mieście, nadkonsumpcji, zmianie klimatu.

— *Jesteście wegetarianami?*

— Nie. Ale podajemy wegetariańskie jedzenie, bo jest

bardziej demokratyczne, każdy może po nie sięgnąć. Jest to forma inkluzyjna.

— *W Węgajtach wiosną i latem jest cudnie. A jak jest teraz?*

— Najtrudniejszą porą roku jest jesień. Żeby przeciwdziałać depresji, organizujemy mały festiwal Jesień Teatralna, podczas którego wkraczamy w przestrzeń miasta, między innymi do Olsztyna.

— *Żałujesz, że wybrałeś ziemię B?*

— Nie, tego nie żałuję, bo mogłem stworzyć wizję ziemi B. A co mnie tu trzyma? To, że coś tu stworzyliśmy. I nie chodzi o sprawy materialne, ale o sieć kontaktów.

— *A dzieci? Zostali czy odlecieli?*

— Nasi dwaj synowie wybrali metropolie: Warszawę i Berlin. Teraz przyjeżdżają do Węgajt jak na wies. To po nich widać, że koncepcja tożsamości lokalnej się zmieniła. Jest bardziej dynamiczna, można być Stąd, ale być Tam. Oni są w Europie. My jesteśmy przywiązani do warunków przestrzennych, a to wartości z zamierzonych czasów.

— *Bo jesteście w zamierzonych czasach. Przecież na naszego życia w Węgajtach*

wyrósł las! Moje dzieci też odleciały.

— I nie mają kompleksów prowincji?

— *Nie, mówią, że są słodkami i są z tego dumne. Nasza rodzina jest napływowa, ale dziadek należał do pionierów, bo przyjechał tu w grudniu 1945 roku.*

— Pionierzy to bardzo ciekawy temat, nieopisany, bo nie możemy zaakceptować faktu, że to Armia Czerwona nas tu sprowadziła. Jest tu taki pan Tadeusz, pierwszy polski milicjant po wojnie. Świętyn facet. Zwrócił się do mnie, żebym pomógł mu skontaktować się z Ratzingerem. Bo w czasie wojny pracował w gospodarstwie ojca Benedykta XVI. Ten ojciec był jego panem. Listy pana Tadeusza nie dochodziły do papieża.

— *I co?*

— Nie mogłem, niestety, mu pomóc. Ale rok 1945 to bardzo ciekawy punkt w czasie. Byliśmy rozczarowani, Mute i ja, „Róża” Wojciecha Smarzowskiego. To film zbyt schematyczny, nie udało się w nim odkryć autentycznych relacji między ludźmi.

— *To wy coś śróbcie o pionierach.*

— Szukamy historii i tekstów.